Nr. 7.

Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 6. Stycznia 1899.

Opiekunka Wawelu.

Kraków 4 stycznia.

Ktokolwiek czyta dzienniki, a w nich miesięczne sprawozdania ze składek na odbudowę naszego zamku, zrozumie kogo mam na myśli, czyjej działalności wybitnej podobiznę piórem mam zamiar skreślić. Wiemy wszyscy jak ważną rolę w rozwoju Czechów w ostatniem ćwierćwieczu odegrały składki centowe; z nich przecie czerpie nieustannie czeska „Matica", z centów i groszy powstało wspaniałe „Narodne Divadlo", a wiele innych fundacyj i celów zawdzięcza swe istnienie temu samemu źródłu. Tam nikt się nie boi „karotować" i nie usuwa się od datków, uznając chętnie zasadę dobrowolnego opodatkowania na pewne wspólne cele. Ale Czechom łatwiej, oni mają przemysł i pieniądze, gdy u nas przeważnie bieda. A jednak u nas przy dobrej organizacyi, wielkim zasobie silnej woli i niezmordowanej pracy można wiele zrobić. Dowodem centowe składki na Wawel, na który zebrano dotąd 43.000 wyraźnie czterdzieści trzy tysięcy zł.

Czyjeż to dzieło? Ani żadnego stowarzyszenia, ani też większego grona mężczyzn, lub też jakiej jednostki męskiej, lecz jednej słabej, zbolałej cierpieniami niewiasty, która poczuwszy się na siłach, stała się autorką składek na Wawel i postanowiła za przykładem pobratymców centami go odbudować.

Ciężko dotknięta przez opatrzność w macierzyńskiej miłości, gdy z rozpączy po utracie syna bliską była szaleństwa, powziąwszy patryotyczną myśl ufundowała sprawie naszej rzadkiej doniosłości dzieło a siebie uratowała. Odtąd (a działo się to w r. 1894) oddała całą siebie bez zastrzeżeń ukochanemu Wawelowi I niech nikt sobie nie wyobraża, że to praca lekka lub rzecz przyjemna; organizacya, wysyłka puszek na prowincyę, rozdawanie w mieście i w domu, chodzenie po sklepach, odbieranie i przeliczanie pieniędzy, prowadzenie rachunków, składanie na procent itd. itd. Wszystko to robi sama, niepomna na odległość lub aurę i inne niewygody, nie wspominając już o tem, iż nie zawsze wszyscy chętnie składają ofiarę Czasem trzeba znieść skrzywienie — to jeszcze się da ścierpieć — aleć niejednokrotnie i przykre słówko padnie, a wtedy? Wtedy należy pamiętać o wielkim kwestarzu Baudouin'ie.

Czyż praca taka dla wzniosłego celu z wszelkiem zaparciem, czyż takie wypełnienie życia jedną wielką ideą nie zasługuje na najgłębszą cześć. Ma ją też zasłużona inicyatorka i zbieraczka na Wawel w całej pełni tak w Krakowie jak i po za granicami tegoż, a nawet po za krajem. Opowiadano mi, iż pewien rodak za granicą mieszkający, bawiąc w Krakowie, miał sposobność poznać działalność szlachetnej kobiety. Zachwycony i wzruszony w uznaniu wdzięczności obok składki posłał jej bukiet.

— Mój Boże — rzekła — czyż nie lepiej byłoby pieniądze wydane na kwiaty wnieść do puszki na Wawel?

To przecież wielce charakterystyczne. Dla tej kobiety obok racyonalnej filantropii istnieje tylko jedno: Wawel. Wytęża tedy wszystkie siły, urządza przedstawienia amatorskie, koncerty i t. p. agituje, pracuje wytrwale, byle pomnożyć fundusze ukochanego przez się celu. W działalności tej znalazła gorliwe pomocnice w osobach p. Seferowiczowej we Lwowie, za której staraniem Wawel wiele zyskał i p. Józefy Pieniążkowej w Krakowie.

Zacna ta Polka miewa też niejednokrotnie wielkie zadowolenie własne wśród maluczkich. Kiedyś przyszła do niej służąca z prośbą o puszkę, a po niejakim czasie przyniosła ją pełną.

— Jakto w tak krótkim czasie tyle nazbierałaś? — zapytała dziewczynę pani.

— A to tak między sługami a i ja dorzucałam często centy z zarobku.

Czyż to nie wzrusza? A jak podniośle oddziaływa na moralność ludu.

Innym razem zgłosił się do naszej niezmordowanej pracowniczki chłopak nieznany, a w dodatku na oko nie budzący zaufania, również z prośbą o puszkę. Acz z nie wielką chęcią, ale zaryzykowano ją, dowiedziawszy się gdzie chłopak mieszka. A jednak jak pozory mylą! Była to nędza, ale jak uczciwa, jak szlachetna! Po paru miesiącach chłopię przyniosło puszkę, a w niej kilkadziesiąt centów. Za służenie codziennie do mszy dostawał po kilka groszy i z nich jednego zawsze wrzucał do puszki.

— Cóż ci za to dać moje dziecko? Chciałabym ci się wywdzięczyć?

— Ja proszę pani tylko o jaką książeczkę z opisem Wawelu.

Raz w miesiącu odbywa się t. z. „rozbicie puszek". To także obraz godny przyjrzenia się. Przy długim stole zasiada kilka dziewic, które pod kierunkiem zacnej niewiasty rozbijają puszki, przeliczają wartość złożoną przeważnie z miedzi i opatrują je nowemi spodami. Ilość zebranych pieniędzy z każdej z osobna puszki notuje się najdokładniej, ogłasza w pismach a gotówkę umieszcza na książeczki oszczędności. Na każde takie „rozbicie" zjawia się kilkadziesiąt osób, które razem przynoszą po kilkaset guldenów. Wedle przybliżonego obliczenia za dwa lata tj. po koniec wieku suma ogólna z procentów i przyszłych składek wyniesie z górą pięćdziesiąt tysięcy.

I to wszystko zdziałała jedna, jedyna słaba niewiasta, której czysto patryotyczna działalność znalazła uznanie nawet... u rządu austryackiego. Na oko wydaje się to dziwnem a nieprawdopodobnem a jednak faktem jest, iż otrzymała świeżo odznaczenie w postaci orderu Elżbiety.

Mam najgłębsze przekonanie, że uznanie ogółu i cześć jej oddawna daje większe zadowolenie, ogół ten jednak raduje się, iż zwrócono uwagę na skuteczną pracę dzielnej Polki, szlachetnej opiekunki Wawelu, odznaczającej się w dodatku rzadką skromnością i brakiem zamiłowania... w rozgłosie. Jak jest jednak obowiązkiem prasy karcić niewłaściwości i tępić wykroczenia, tak też i jej rzeczą wyciągnąć z ukrycia osobę o cichych, lecz wielkich zasługach. Dlatego też niech mi wolno będzie na tem miejscu wymienić z najgłębszem poważaniem a wdzięcznością czcigodne nazwisko Aleksandry Ulanowskiej, dla której w oddaniu co komu należy mam tylko jedno życzenie: Oby nie na dziesiątki tysięcy jak obecnie, ale na krocie w niedalekiej przyszłości liczyła fundusze zebrane i przeznaczone na odbudowanie naszego ukochanego zamku królewskiego!

Kaźmierz ze Lwowa.

Sprawozdanie poselskie.

Poseł do Rady państwa z lwowskiej Izby handlowej p. Jakób Piepes-Poratyński, jak to już pokrótce zanotowaliśmy, złożył na posiedzeniu tejże Izby dnia 2 bm. wyczerpujące sprawozdanie z działalności poselskiej, w którem poruszył niektóre doniosłego znaczenia sprawy krajowe. Sprawozdanie szan. posła opiewało:

Jeszcze w zeszłym roku, na wezwanie jednego z sz. kolegów oświadczyłem, iż gotów jestem zdać sprawę z moich czynności poselskich w Wiedniu. Dlaczego z tego ważnego obowiązku wywiązuję się teraz dopiero, łaskawie p. prezydent raczył już powiedzieć. W szczególności zaś złożyły się na to dwie przyczyny: Przedewszystkiem zeszłoroczne zajścia w parlamencie austryackim, które boleśnem echem odbiły się w całym kraju, a które zmieniły, a jak się pierwotnie zdawać musiało nawet po części osłabiły stanowisko delegacyi polskiej w parlamencie, były tak jeszcze świeże, wrażenie ich tak jeszcze przygnębiające, że pod wpływem tego wrażenia trudno było wyrobić sobie należyty sąd o sytuacyi samej, ocenić ją chłodno i trzeźwo. Skutkiem tych zajść — a to jest druga przyczyna odroczenia mego sprawozdania — była zupełna bezpłodność całej sesyi parlamentarnej. Jak panowie dobrze wiecie, o jakiejkolwiekbądź działalności parlamentarnej, ustawodawczej, normalnej zeszłego roku mowy być nie mogło.

To był powód, dla którego odroczyłem moje sprawozdanie, a przyznaję się, że i dziś poważne mam skrupuły, czy należy „inandum renovare dolorem" i wspominać o tych zajściach, powszechnie znanych, a tak przykrych. Jeżeli mimo to kilkoma słowy dotknę ich, to dlatego, że chciałbym się z panami podzielić kilku uwagami co do ówczesnych zajść, które według mnie bądź wcale nie, bądś nie z należytym naciskiem były podnoszone, a które dla zrozumienia całej sytuacyi ówczesnej i wynikającej z niej i teraźniejszej, uważam za niezbędne. Dlatego pozwolą panowie, że i o tem mówić będę.

Program hr. Kazimierza Badeniego składał się z trzech ważnych punktów: pierwszym była reforma wyborcza, drugim pogodzenie powaśnionych narodowości w Czechach, a na podstawie przeprowadzonych tych dwóch spraw zamyślał hr. Badeni przeprowadzić ugodę z Węgrami, o ile możności jak najkorzystniejszą dla tej połowy monarchii.

Pierwsza część programu została wykonana. Można mieć rozmaite zapatrywania na dzisiejszą ordynacyę wyborczą, ale nie da się zaprzeczyć, że objawia się w niej dobra wola dalszego ukształtowania socyalno-politycznych stosunków w monarchii i że jest to w tym kierunku postęp znaczny. Przyszłość okaże zresztą, czy ta reforma wyborcza będzie miała skutki zbawienne.

Drugi punkt programu hr Badeniego, pogodzenie powaśnionych narodowości w Czechach, jak wiadomo, nie został wykonany. Hr. Badeni zamierzal przeprowadzić tę zgodę w porozumieniu z przedstawicielami obu narodowości.

Gdyśmy po raz pierwszy zjechali się na sesyę parlamentu, było rzeczą powszechnie wiadomą, że zabiegi hr. Badeniego szły w tym kierunku, żeby do gabinetu powołać dr. Baernreithera, jednego ze znakomitych reprezentantów stronnictwa liberalnej wielkiej własności i równocześnie dr. Kaizla, młodoczecha, dla uzmysłowienia niejako na zewnątrz tej ugody, przeprowadzić się mającej.

Srodkiem do tej ugody miały być rozporządzenia językowe, które zarazem miały Czechom pod względem narodowym wymierzyć dawo oczekiwaną sprawiedliwość, Czem były i są te rozporządzenia językowe które od dwóch lat są hasłem bojowem na arenie parlamentarnej?

Faktem jest, że między posłami w radzie państwa jest wielu takich, którzy tych rozporządzeń wcale nie czytali, a że u szerszej publiczności jest bardzo wielu takich, którzy o rozporządzeniach tylko tyle mają wyobrażenia, o ile echo ich odbiło się w parlamencie, to żadnej nie ulega wątpliwości. Rdzeniem rozporządzeń tych jest, że kilkuset urzędników Niemców ma obowiązek nauczyć się do roku, jak pierwotny projekt opiewał, 1902 języka czeskiego. Ten termin został jednak natychmiast przedłużony o lat 10 tak, że już następnie mówiono o terminie 1912 roku.

Według mojego przekonania była to sprawa prawie czysto urzędnicza i trudno zrozumieć, dlaczego naród niemiecki, naród Kanta i Goethego, który wmawia w siebie i innych, że wpływem swoim i kulturą przyświeca wszystkim innym narodom Europy, po tych rozporządzeniach obawiał się zupełnej zagłady żywiołu niemieckiego w Czechach. Ale nadto, szkic tych rozporządzeń był ułożony w porozumieniu i to z naciskiem podnoszę, w porozumieniu reprezentantów obu narodowości. Jeżeli ten szkic w dalszym toku sprawy doznał zmiany, i takiej zmiany, która była powodem tych stzaszliwych zajść, to stało się to, trzeba chyba powiedzieć, skutkiem jakiegoś fatalizmu tragicznego, który zawisł nad temi rozporządzeniami i nad całą kwestyą pogodzenia zwaśnionych narodowości.

Trudności okazały się dopiero wtedy, kiedy z tych szkiców, przyjętych i zatwierdzonych przez reprezentantów wielkiej własności liberalnej, trzeba było wytworzyć normy prawne, ujęte w paragrafy.

Dla przykładu przytoczę tylko jeden taki szczegół: Rozporządzenia językowe postanawiają, że nawet w rejonach czysto niemieckich mogą być wnoszone podania w języku czeskim, a odpowiedź, rezolucya czy wyrok musi opiewać tak samo po czesku.

Na to zgodzili się przedstawiciele stronnictw niemieckich. Ale nowa procedura cywilna ustna pociąga za sobą konsekwencye. Temu, który wnosił podanie w języku czeskim, należało także przyznać prawo powoływania świadków, adwokata, dla obrony własnej — i stąd wyrodziła się ta potrzeba drugiego języka wewnętrznego czeskiego (die zweite innere Amtssprache), która, jak wiadomo, była pierwszym szkopułem, o który sprawę językową zaczepiono.

Ten jeden przykład daje wyobrażenie, ile w rozporządzeniach językowych było złej woli, ile zamiaru uciemiężenia narodu niemieckiego w Czechach.

Mimo to rokowania z przedstawicielami liberalnej wielkiej własności niemieckiej dalej trwały już nawet po wyjściu rozporządzeń. Jeśli zaś zostały przerwane i ostatecznie nie doszły do skutku, to stało się to także nie z winy ówczesnego szefa gabinetu, ale z powodu zdarzenia w znacznej części od niego niezawisłego.

Bez porozumienia się bowiem z nim i zupełnie niezależnie od niego ugrupowały się stronnictwa i wytworzyła się większość, która nie reflektowała na tych reprezentantów większej własności niemieckiej; wytworzyła się większość, co do której było wielu takich którzy mieli poważne wątpliwości, czy ona będzie dosyć silną, a do tych którzy mieli te wątpliwości, należał, jak mi się zdaje, także hr. Badeni. To utworzenie się większości równocześnie z zajadłą agitacyą niemieckiej, prusofilskiej partyi w Czechach, rozbiło ostatecznie rokowania z liberalną większą posiadłością ziemskiej i dało powód hr. Badeniemu do wniesienia pierwszej dymisyi w kwietniu ub.r. Jak wiadomo, dymisyi nie przyjęto i hr. Badeni pozostał.

Może to jedyny błąd, który popełnił hr. Badeni i z którego dalsze konsekwencye potem już płynęły, że wówczas przy dymisyi swej nie obstawał Nie mogę się tu powstrzymać od zrobienia jednej uwagi. Te osobistości, które wtedy najbardziej były czynne przy utworzeniu tej właśnie większości, której sobie hr. Badeni nie życzył, te same osobistości teraz, kiedy się ta większość skonsolidowała, kiedy i w gabinecie doznała właściwego wyrazu, są najbardziej z dzisiejszego stanu rzeczy niezadowolone i najbardziej prą do robienia wszelkich możliwych koncesyj na rzecz Niemców. Rzeczywiście trudno w tem postępowaniu dopatrywać konsekwencyi politycznej!

Jak panowie wiedzą, rozpoczęła się potem najdziksza obstrukcya, nieznana dotąd w dziejach parlamentaryzmu, obstrukcya, która skompromitowała nietylko parlamentaryzm w Austryi, ale ideę parlamentaryzmu wogóle, albowiem pokazało się, że nie większość rozstrzyga, tylko mniejszość parlamentarna, jeśli się chwyci środków bezwzględnych, prawie powiedziałbym dzikich i brutalnych. Ta obstrukcya, jak wiadomo, doprowadziła do *lex Falkenhayn* i do ostatecznego usunięcia się gabinetu hr. Badeniego.

Przedtem jednak zaszło zdarzenie, o którem także z naciskiem wspomnieć należy. W dniu 12 listopada zr. hr. Badeni wygłosił mowę, w której oświadczył, że gotów jest przyjąć wszelkie wnioski, dążące do zmiany rozporządzeń językowych, do takiej zmiany, któraby ugodę umożliwiła, że gotów jest nawet sam do takiej zmiany dać inicyatywę Wskutek tego oświadczenia rozpoczęły się w prezydyum parlamentu rokowania obu stronnictw, które prawie że doprowadziły do rezultatatu, ale przy samym końcu tych rokowań przedstawiciele stronnictw niemieckich, działający pod naciskiem skrajnych żywiołów prusofilskich, chcących za każdą cenę ugodę uniemożliwić, postawili jakby w naiwności jeszcze jeden dodatkowy warunek, a mianowicie że potrzeba im koniecznie dla uspokojenia i zadośćuczynienia wzburzonej opinii publicznej w obwodach czesko-niemieckich, jednej bagatelki tj. ustąpienia Badeniego Oczywiście, że takie ostateczne żądanie Niemców wydawało się po prostu drwinami i na tem się te rokowania skończyły.

Lex Falkenhayn uchwalona została w gorączce i w podnieceniu, w jakiem się wówczas wszystkie stronnictwa parlamentu znajdowały Ja głosowałem za *lex Falkenhayn.* Głosowałem po przezwyciężeniu wielkich, znacznych wątpliwości, po stoczeniu walki z mojem przekonaniem, ale tak ja, jak i inni uważaliśmy to w tej sytuacyi, w tej atmosferze, w której wszyscy wtedy żyliśmy, jako jedyne wyjście, jedyny środek zaradczy przeciw tym dzikim scenom, jakie się rozgrywały w parlamencie. Wrażenie jakie *lex Falkenhayn* wszędzie wywołała, było bardzo niekorzystne, a spotęgowało się dlatego, że w sposób najzupełniej fałszywy łączono je z zajściami, które nastąpiły w ów pamiętny piątek, poprzedzający ustąpienie Badeniego, z wkroczeniem policyi do parlamentu.

Wkroczenie to, fakt najżywszego ubolewania godny, który rzeczywiście skompromitował parlamentaryzm, było tylko przypadkiem związane z lex Falkenhayn Tylko przypadek zrządził, że dla ewentualnej obrony parlamentu przed ekscesami ulicy był pluton policyjny przygotowany w parlamencie, a gdy dnia tego w sposób dziki rzucono się na prezydenta i kiedy nawet życiu jego groziło poważne niebezpieczeństwo, wtedy ktoś, niewiadomo dotąd kto, spowodował, że policya wkroczyła do sali parlamentu i usunęła ekscedentów z trybuny prezydyalnej. Bądź co bądź smutny ten wypadek zakończył erę parlamentaryzmu w roku przeszłym i gabinet Badeniego ustąpił.

Po nim nastąpił gabinet Gautscha. — Gautsch próbował, jak wszystkim wiadomo, wszelkimi środkami pogodzić Czechów z Niemcami i zmienić rozporządzenia językowe. Nie udało mu się to zupełnie i wnet potem nastąpił gabinet Thuna.

Gabinet Gautscha składał się z samych urzędników i nie przedstawiał się nigdy parlamentowi — gabinet Thuna zaś w nowym swym składzie przedstawił się radzie państwa już w roku bieżącym. W pierwszej chwili zdawało się, że Thun odniesie pewien rezultat. Przynajmniej udało mu się z początku to, co się nie udało hr. Badeniemu, połączył bowiem w gabinecie swoim Baernreithera z Kaizlem. Ale nie trwało to długo. Za pośrednictwem Baernreithera rozpoczęły się znów rokowania z Niemcami, którzy przystępowali do nich niechętnie i opornie, i tylko zawsze z zastrzeżeniem, że konferencye te do niczego nie obowiązują. W końcu i te rokowania wszystkie rozbiły się z powodu czem raz bardziej wzrastających żądań Niemców, którzy wspominali już o cofnięciu rozporządzeń Stromayera a nawet o odnowieniu wniosku Schurschmida o języku państwowym. Skłoniło to hr. Thuna do stanowczego zwrotu ku prawicy, a zwrot ten zamarkowany został ustąpieniem Baernreithera i wstąpieniem w jego miejsce hr. Dipauliego. I oto dziwny objaw, na który należy zwrócić uwagę i możliwy tylko w tym kraju niepodobieństw, który się Austryą nazywa. Polak minister hr. Badeni życzył sobie mieć w gabinecie reprezentanta stronnictwa niemieckiego w osobie Baernreithera. Prezydent ministrów Niemiec, hr. Thun, usuwa Baernreithera i zastępuje go Dipaulim, którego Niemcy nigdy pod względem politycznym za swego reprezentanta nie uważali. Ale inaczej być nie mogło, bo z całego toku obrad pokazało się, że Niemcom wcale nie chodziło i tak samo nie chodzi o rozporządzenia językowe, ale chodzi im jedynie o przywrócenie hegemonii Niemców w Austryi, a ktoby miał jeszcze pod tym względem pewne wątpliwości, niech się tylko przypatrzy temu faktowi, że najskrajniej pod względem politycznym w opozycyi idzie frakcya styryjska, której właściwie rozporządzenia językowe bezpośrednio wcale nie dotyczą.

Od tego czasu rozpoczęły się w parlamencie jakieś roboty spokojniejsze. Niemcy chcieli niespodziankę hr. Thunowi sprawić tem, że zaczęli się zachowywać przyzwoicie. (Wesołość).

Jak sobie panowie przypomną, hr. Thun wydał hasło „Jesteśmy na wszystko przygotowani". Otóż Niemcy pomyśleli sobie, że rząd może być na wszystko przygotowany, ale na spokojne i przyzwoite traktowanie obrad z pewnością przygotowany nie jest. I sprawili mu rzeczywiście niespodziankę. Przystąpiono do pozornie przynajmniej normalnych prac parlamentarnych, w pierwszym rzędzie do ugody węgierskiej.

Co do tej ugody, to już kandydując, miałem sposobność wypowiedzieć moje zapatrywania. Jestem i dziś tego zdania, że cała ta ugoda jest dla nas, dla kraju naszego, jeżeli nie pożądana, to co najmniej obojętna — a gdyby nie chodziło o mocarstwowe stanowisko Austryi, to raczej powinnibyśmy być przeciw niej, niż za nią. Dziwnym zbiegiem okoliczności jednak my, którym ona jest obojętną, staczamy dla tej ugody właśnie walkę z tymi, dla których ona jest kwestyą żywotną, bo przemysłowe prowincye austryackie bez tej ugody właściwie nie mogłyby egzystować.

Ugoda składa się, jak wiadomo, z trzech głównych części: z traktatu cłowo-handlowego, statutu i przywileju Banku, oraz przedłożeń, dotyczących zwrotu opłat konsumcyjnych. Ponad tem wszystkiem jeszcze stoi jako konglomerat ugody kwota na wspólne wydatki, która właściwie do ugody nie należy,

bo według konstytucyi ma być uchwalona przez osobne komisye, wybierane przez oba parlamenty, a gdyby one się zgodzić nie mogły, ma być rozstrzygnięta przez koronę.

Co do traktatu cłowo handlowego znane są panom szczegóły. Wspomnę tylko o niektórych korelatach, należących do tego traktatu t. j. o t. zw. obronie mlewa i o taryfach kolejowych. Co do obrotu mlewa rozmaite rozpowszechnione są zdania.

Z naszego stanowiska przez długi czas staraliśmy się o zniesienie go. Byli jednak między nami trzy, do których i wielce Szan. kolega dr. Kolischer należał, którzy dowodzili, że obrót mlewa nam nic nie szkodzi, a zniesienie go raczej może przynieść szkodę Galicyi. Ja skłaniam się także do tego przekonania, jakkolwiek zniesienie obrotu mlewa podawano nam jako szczególną dla nas koncesyę.

Obrót mlewa, jak panowie wiecie, na tem polega, że cło, opłacane od zboża wprowadzonego do Węgier, jest przy wywozie mąki restytuowane. Dawało to młynom węgierskim możność skutecznego konkurowania z Austryą na targach zagranicznych. Po zniesieniu teraz tej wielkiej dla nich koncesyi należy się obawiać, że przy kolosalnych zakładach przemysłowych młynarskich, przy drogach wodnych, jakie tam mają, przy całej polityce ekonomicznej i przemysłowej rządu zalitawskiego, przemysł ich młynarski bynajmniej się nie zmniejszy, ale korzystając z wszelkich ułatwień, taryfowych i innych przez rząd mu dostarczanych, mając zakłady przemysłowe dawno już zamortyzowane nie zredukuje swej produkcyi, z całą forsą rzuci się na targi krajowe i bardzo dotkliwą konkurencyę czynić będzie naszym wyrobom. Z naszego więc stanowiska zniesienie obrotu mlewa nie jest wcale koncesyą.

Podczas obrad nad traktatem cłowo handlowym poruszano także sprawy kolejowo taryfowe. Naturalnie stawiano żądanie, żeby zobowiązać Węgry, by sprawy taryfowe były równo i równomiernie traktowane w obu połowach monarchii. Ale pominąwszy już okoliczność, że Węgry mają sto środków w ręku, aby nawet przy pozornie równem traktowaniu spraw taryfowych potem interesentom swym dawać tajnie znaczne ułatwienia.

Węgrzy stanęli zasadniczo na tem stanowisku, że co do taryf nie chcą zrzekać się swej autonomii i czynić to zawisłem od zezwolenia drugiej połowy państwa. W komisyi ugodowej mieliśmy kilku przedstawicieli bardzo znakomitych, należał do nich także wielce Szan. kolega dr. Kolischer, który swą niezmordowaną pracą i wielką znajomością rzeczy wybitne stanowisko zajął w tej komisyi, jak w ogóle w parlamencie. To też nie waham się wypowiedzieć, że Izba lwowska ma właściwie w parlamencie wiedeńskim nie jednego, ale dwóch posłów i jako tego drugiego posła Izby, nie chcąc przytem zrobić konkurencyi miastom, które go wybrały, uważam kolegę mego p. dr. Kolischera.

Drugą sprawą, do ugody należącą, jest statut i przywilej bankowy. Zapatrywania moje co do tego statutu i przywileju Banku austro węgierskiego wypowiedziałem w przemówieniu swojem w Kole polskiem, bo nie należąc do komisyi ugodowej, tylko tą drogą mogłem to uczynić. Zapatrywania te moje podzielali wszyscy członkowie komisyi ugodowej, ale o ile chodziło o jakiekolwiekbądź zmiany w tym statucie lub przywileju, to wszystkie te życzenia i uwagi na zmianę tekstu wpłynąć nie mogły, tylko mogły być wyrażone w formie rezolucyi. Tekst bowiem przedłożeń jako już z rządem węgierskim umówiony — uważano — nie wchodzę w to, czy słusznie, czy niesłusznie jako nienaruszalny. O ile więc one odniosą skutek, tego naprzód przewidzieć nie mogę.

Jedno wszakże muszę tu zaznaczyć, że co do Banku austro węgierskiego, mniejsza o statut pisany, tu wszystko zawisłem jest od ducha, jaki zapanuje w tym Banku, i tylko po kierownictwu i dobrej woli kierowników spodziewać się można jakiejś zmiany ku lepszemu.

Jedyne zmiany możliwe do poczynienia były w trzecim dziale ugody t. j. w podatkach konsumcyjnych.

Udało nam się uchylić jeden zwłaszcza podatek według mojego zdania najdotkliwszy dla Galicyi, a mianowicie podatek wódczany. Został na razie także zupełnie uchylony podatek od piwa, czego domagali się Czesi. Zdaje mi się, że bez należytego wpływu Koła polskiego byłoby to niemożliwem i uważam to za wielką korzyść dla kraju że na razie przynajmniej podatki te zostały uchylone.

W obec tego, że prawie bez wytchnienia pracowała komisya ugodowa, na plenarne posiedzenia Izby pozostawało bardzo mało czasu, to też parlament załatwił tylko niewiele ustaw ważniejszych. Należą do nich: Traktat handlowy z Japonią (doskonały referat posła Kozłowskiego) i ustawa o kolejach lokalnych, o regulacyi Dunaju, o uregulowaniu i podwyższeniu płac dla sług państwowych — referowana przez posła Piętaka. Wszystkie one obchodzą nas właściwie w drugim rzędzie dopiero, a co do kolei lokalnych, to muszę oświadczyć, że wyszliśmy nieszczególnie, albowiem z pomiędzy jedenastu linii uchwalonych, Galicya otrzymała tylko jedną: Przeworsk-Rozwadów.

W obec tej jałowości i tej sesyi parlamentarnej czynności pozaparlamentarne Koła wielką odgrywały rolę i tylko tą drogą można było uzyskać jakieś zdobycze dla kraju. A niech mi tu wolno będzie powiedzieć, że wszelkie sprawy w Kole polskiem w Wiedniu załatwiane bywają zupełnie inaczej i odmiennie, jak w innych klubach parlamentarnych.

Każda sprawa, choćby najdrobniejsza bywa w Kole gremialnie traktowana i jeśli uznaną zostanie za ważną i poparcia godną, to doznaje poparcia już nie pojedyńczego posła, ale całego Koła. To może być nieprzyjemne dla pojedyńczych posłów, którzy radziby poszczycić się przed wyborcami rezultatami swych zabiegów, ale dla samej sprawy strona to bardzo dodatnia.

Muszę tu złożyć też jeszcze jedno oświadczenie. Nie mam dość słów uznania i podziwu dla przewodniczącego Koła J. E. Jaworskiego. Mimo sędziwego wieku, mimo iż, jest przewodniczącym komisyi parlamentar nej prawicy, komisyi parlamentarnej Koła, że właściwie jest dziś jednym z najważniejszych filarów parlamentarnych, na których się rząd opiera, nie pomija on żadnej sprawy, choćby najdrobniejszej, poruszonej w Kole, nie szczędzi trudów, aby za nią chodzić, żadnej nie zaniedba sposobności, aby się przyczynić do jej zrealizowania. Ta czynność, ta gorliwość tak rzadka i w tem wieku musi być z należytą wdzięcznością i uznaniem podniesioną.

Jeżelibym miał wymienić kilka spraw, jakie nam się udało w tej drodze pozaparlamentarnej przeprowadzić, to przypomnę zeszłoroczną sprawę druków sądowych, które już były oddane cesarskiej drukarni wiedeńskiej, a które wydobyliśmy przynajmniej w części dla drukarń naszych, — dalej ostateczne załatwienie sprawy założenia akademii handlowej, pewne powiększenie dostaw dla armii i rozmaite inne zdobycze taryfowe, — a mianowicie spodziewaną jest jedna zdobycz pod względem taryfowym bardzo doniosła, o której jednak nie chcę teraz wspominać, a to dlatego, że może publiczne traktowanie tej sprawy nie faworyzowałoby jej ostatecznego załatwienia.

Zapytacie mnie słusznie panowie: jaki jest dalszy program Koła i czynności w parlamencie, jaka jest sytuacya i horoskop na przyszłość?

Jak panowie widzą, przykład fatalny, jaki dała opozycya w parlamencie austryjackim, znalazł już naśladowców po tamtej stronie Litawy i rozprzężenie w całem państwie jest wielkie. Czy i w jaki sposób stosunki te się uporządkują, tego nikt przewidzieć nie może. Ale jeśliby się udało, a miejmy nadzieję, że przecież uda się ład jakiś wprowadzić, to program prac parlamentarnych ze stanowiska naszego kraju jest bardzo jasny.

Znane są panom zapewne rozprawy z ostatnich dni w Kole polskiem, na wnioski posłów Kozłowskiego i Walewskiego. Wtedy cały tam program ułożono i postulaty ważniejsze wymieniono. W pierwszym rzędzie chodzi, i o tem już w mowie mojej kandydackiej wspomniałem, a rzecz bardzo ważną i rzekłbym kardynalną dla nas, mianowicie o pomnożenie posad, zajmowanych przez Polaków, we władzach centralnych wiedeńskich. Jestto prawo, które mieści w sobie niemal załatwienie wszelkich innych spraw. Co do mnie, zawsze miałem to wrażenie, że lepsi są dla nas dwaj szefowi sekcyjni Polacy od jednego ministra rodaka, a jeszcze lepsi czterej hofraci polscy od dwóch szefów sekcyjnych, bo w austryackim ustroju administracyjnym hofrat referent ma wszystko w swojem ręku i nieraz sam minister jest wobec referenta bezwładny. Otóż pomnożenie urzędników polskich w centralnych władzach jest według mnie jednym z najważniejszych postulatów naszych. Przyznaję się, że wykonać to nie łatwo, bo nawet jeżeli się udaje młodsze siły do Wiednia powołać, to one się tam nie trzymają, tylko po zaawansowaniu starają się dostać napowrót do kraju i uważają Wiedeń jedynie jako stacyę dla siebie przejściową, z czego kraj oczywiście żadnego pożytku mieć nie może.

W tym kierunku postanowiło Koło wytężyć swoje zabiegi, a zdaje mi się, że to na wszystkie strony dobrze będzie oddziaływać. Drugim postulatem naszym jest większa dotacya na regulacyę rzek, ale z tą sprawą w połączeniu są prace, które muszą być wykonane w kraju i co do których należy rzeczywiście żałować, że nie postępują dość raźno. Tu musi współdziałać kraj w przygotowywaniu tych wszystkich projektów, a wtedy dopiero można z należytym naciskiem tam w Wiedniu starać się o większe fundusze.

Co do dostaw publicznych, dla armii i innych, Koło wybrało osobną komisyę, która zajmie się każdą sprawą bardzo gorliwie, i udało nam się już w niektórych kierunkach udział przemysłu krajowego w dostawach powiększyć. Oto w ogólnych zarysach te postulaty, o których można mówić.

Nie chcę zakończyć mojego przemówienia bez złożenia jednego jeszcze oświadczenia, oświadczenia politycznej natury.

Przy wszelkiem przestrzeganiu spraw krajowych i interesów ekonomicznych kraju, jednej rzeczy nie wolno nam spuszczać z oka. Austrya jest jedynym krajem, a że jedynym to się w ostatnich dniach wyraźniej jak kiedykolwiek okazało, gdzie wolno nam jest pielęgnować i rozwijać narodowość naszą. Logika jednostek i logika narodów jest jedna i ta sama. Przedewszystkiem chodzi o to, a b y b y ć, a dopiero potem chodzić może o to, j a k b y ć. Tu jesteśmy sobą, tu nam sobą być wolno. (Oklaski).

Nieraz przychodzi nam dla tej okoliczności, i dla połączonego z nią państwowego stanowiska Austryi poczynić pewne ofiary. Granic tych ofiar nie może ustanowić ani pojedyńczy poseł, ani nawet pojedyńcze frakcye, reprezentujące nasz kraj w Radzie państwa, te granice muszą być ustalone przez ogół posłów. Panowie nie zaprzeczą, że jeżeliby ktoś chciał nazwać taką polityką opportunistyczną, to jest ona opportunistyczną w najlepszym prawdziwie patryotycznem znaczeniu tego słowa (oklaski). Wszystko, co Koło polskie dotąd robi, co jego przywódcy robią, jest tą tendencyą, tą myślą owiane, i ja przyznaję się, że przy wszelkiem przestrzeganiu spraw krajowych i spraw, które mnie jako posłowi tej Izby szczególnie zastępować wypada, ta tendencya ma we mnie szczerego z przekonania i niezachwianego zwolennika. Spodziewam się, że jak w innych kierunkach, tak i pod tym względem jestem w zupełnej zgodzie z moimi mandantami, z wami, szanowni panowie. (Huczne oklaski).

Posiedzenie rady miejskiej.

Lwów 5 stycznia.

(*Katolicki czy żydowski zakład sierót — tramwaj elektryczny*)

Wczorajsze środowe posiedzenie lwowskiej rady miejskiej zaczęło się interpelacyą prof. Thulliego, wystosowaną do prezydenta dr. Małachowskiego. Prof. Thullie pytał, czy dr. Małachowski słyszał zdanie dr. Byka, wypowiedziane na posiedzeniu rady 29 grudnia 1898, w którem to zdaniu dr Byk dał do zrozumienia, iż jest to do pewnego stopnia stan bezprawny, że w miejskim zakładzie sierót nie ma miejsca dla żydów. Prof. Thullie stwierdził, iż w najnowszym opisie Lwowa, wydanym kosztem gminy, znajduje się wyraźne określenie przeznaczenia zakładu miejskiego tylko dla sierót katolickich.

Ten sam pogląd musiał mimowoli i pośrednio uznać sam nawet dr. Byk w swojej mowie z 29 grudnia, choć tłómaczył ówczesne swoje zajęcie się wyłącznie katolickim zakładem tem, iż chodziło o wydatek gminy na ten zakład, a w takiej sprawie jako czysto finansowej, zwłaszcza podczas dyskusyi budżetowej, może każdy głos zabierać bez różnicy wyznania i to nie jest wcale atakiem na charakter chrześcijański zakładu.

Do interpelacyi prof. Thulliego przyłączył się p. Markiewicz, a prezydent dr. Małachowski przyrzekł zbadać brzmienie oryginalnych statutów miejskiego zakładu sierót, aby dociec czy jest autentyczne jego przeznaczenie ogólnie filantropijnem czy czysto katolickiem.

W następnej dyskusyi nad sprawozdaniem z dochodów z kolei elektrycznej zabrał pierwszy głos br. Gostkowski. Przyznał wprawdzie, że frekwencya pasażerów jest na lwowskim tramwaju elektrycznym ogromną, mimo to jednak twierdził, iż finansowe końce tego przedsiębiorstwa ledwie się nie wiążą. Br. Gostkowski dowodził, iż bilans dochodów tramwajowych za ubiegłych 17 miesięcy, przez które przedsiębiorstwo było wyłącznie przez miasto prowadzone, jest niewłaściwie zestawiony.

Opuszczono w nim w rubryce rozchodów naprzód fundusz rezerwowy, potem fundusz renowacyjny, a wreszcie kwotę koniecznie potrzebną na konserwacyę toru. Gdyby to wszystko — jak być powinno — było wstawione w budżet tramwaju elektrycznego, toby się pokazało, że za 17 ubiegłych miesięcy dał tramwaj deficyt 17.000 złr.

Br. Gostkowski sformułował swój wniosek tak, iż należy w bilans dochodów i rozchodów miejskiego tramwaju elektrycznego wstawić wydatek 5.000 złr. na konserwacyę toru, a wskutek tego uznać, że tramwaj przyniósł miastu 5.000 złr. straty.

Następnie wypowiedział prof. Thullie długi szereg żądań co do udogodnienia jazdy tramwajem na linii stryjskiej, zniżenia cen jazdy na niej, gdyż sekcye tam są niemal $1^1/_2$ raza krótsze, niż na linii z dworca na Łyczaków i wreszcie umożliwienia wcześniejszego nabywania biletów abonamentowych, tzn. jeszcze przed ostatnim dniem w miesiącu i to nie na tramwajowym dworcu, lecz gdzieś w mieście.

Poruszył następnie sprawę robotników tramwajowych, konduktorów i motorowych, którzy 12 godzin dziennie pracują a oprócz tego domagał się, aby święcenie niedziel i świąt było przeprowadzone na tramwaju ściśle.

Po odpowiedzi dra Loewensteina referenta tramwaju elektrycznego na wywody i br. Gostkowskiego i prof. Thulliego uchwaliła rada uznać tak bilans tramwaju elektrycznego, jak go miejska komisya tzw. elektryczna zestawiła, nieuwzględniając wątpliwości br. Gostkowskiego.

Sztuki piękne.

* **Z teatru.** Wczorajsza premiera, która, jak i inne w ostatnich czasach, zapełniła szczelnie teatr publicznością, mile odbija od nowoczesnych utworów scenicznych. Jak świerki, ustawione w akcie trzecim na scenie, celem odtworzenia lasu woń po całym amfiteatrze roznosiły, tak ze sztuki wiał uroczy duch romantyzmu, którym wszystkie utwory Ganghofera, autora powieści alpejskich, są przepełnione. Ci, którzy w teatrze szukają podrażnienia nerwów, może opuszczali wczoraj widowisko niezbyt zadowoleni, ale i oni chyba przyznać muszą, że „Światło morza" ma wiele wdzięku i piękności.

Nazwę swej sztuki wziął Ganghofer od zjawiska przyrody, do którego żeglarze przywiązują swe wierzenia. „Światłem morza" w sztuce jest miłość młodego barona Ludwika do swej bratowej Żuni. Przed laty umknął on z domu rodzicielskiego, zostawiając rodzinę i towarzyszkę swych zabaw dziecinnych Żunię.

Poszedł w kraje dalekie, poświęcił się służbie okrętowej. W domu tymczasem po śmierci ojca objął majorat, co prawda zrujnowany, zapobiegliwy i pełen chciwości starszy brat jego Robert i on też poślubił Żunię. Po latach wraca Ludwik, jak syn marnotrawny, celem spędzenia urlopu na ziemi rodzinnej i widzi, że Żunia nie znalazła szczęścia w małżeństwie. Mąż jest zimny, wyrachowany — ona pełna ideałów i serca gorącego. W Ludwiku budzi się dawna miłość, — w niej także odzywa się to nieznane dotychczas uczucie — a tem łatwiej i silniej, że pod wrażeniem pięknego wieczoru w lesie. Stara legenda o prababce, która niewiernego małżonka strąciła ze skały — przywołuje ich wczas do opamiętania. Ludwik postanawia opuścić ojczyznę na zawsze i w tym celu nadaje sam do siebie sfingowany telegram, odwołujący go z urlopu. On widział światło morza na morzu, dla Żuni jest światło morza chwilowem uniesieniem miłośnem, a dla męża jej światło morza jest tylko zjawiskiem atmosferycznem.

Utwór ten, jak już wyżej zauważyliśmy sprawia wrażenie dodatnie a cechuje go urok świeżości. Że żadne dzieło ludzkie nie jest doskonałością, więc i tu są usterki, do których zaliczyć musimy przedewszystkiem: pewien brak akcyi. Krytyka berlińska i wiedeńska obeszły się atoli z „Światłem morza" — naszem zdaniem — zbyt surowo.

Premierę wczorajszą grano u nas zupełnie dobrze. Główną rolę, bo Żunię, która od podniesienia zasłony aż do jej spuszczenia niemal nie schodzi ze sceny, odegrała panna Jankowska. Nie powiemy, że wywiązała się ze swego zadania znakomicie, raz, aby nie wzbijać młodej artystki w niepotrzebną zarozumiałość a powtóre, iż sceny więcej liryczne mogły wyjść jeszcze lepiej — niewątpliwie atoli panna Jankowska odegrała Żunię dobrze a w chwilach trzpiota, młodej, niedoświadczonej a pełnej porywu kobieciny była tak niezrównaną, że gdyby się miało było przy sobie wiązankę kwiatów, chętnie w dowód uznania, rzuciłoby się ją było na scenę, celem zachęcenia artystki do dalszej pracy a dyrekcyi do powierzania ról i tym, które nie wstąpiły na naszą scenę już jako sławy uznane.

Dzisiejszej dyrekcyi mamy to do zarzucenia właśnie, iż za mało młode talenty wyrabia — a przecież to rzecz niezbędna. Panna Jankowska nie raz już dowiodła, iż ma nerw sceniczny, który pobudzony i dobrze użyty, może z niej dla sceny wytworzyć pożądaną siłę. Wczorajsza udała próba powinna być w tym kierunku zachętą dla dyrekcyi.

P. Wostrowski w roli barona-sternika był doskonałym. To samo powiedzieć można o p. Hierowskim. Epizodyczne rólki doskonale odtworzyli pp. Ogińska, Modzelewska i Nowacki. Wystawa nie pozostawiała nic do życzenia.